

JAKUB GORDON

Dnia 17 maja 1945 r. w Oświęcimiu sędzia okręgowy śledczy Jan Sehn, członek Komisji Badania Zbrodni Niemiecko-Hitlerowskich w Oświęcimiu, na wniosek, w obecności i przy współudziale wiceprokuratora Sądu Okręgowego, dra Wincentego Jarosińskiego, na zasadzie art. 254, w związku z art. 107, 109, 115 kpk, przesłuchał w charakterze świadka dr. Jakuba Gordona, byłego więźnia obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu nr 92 627, który zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko	Jakub Gordon
Data i miejsce urodzenia	20 czerwca 1910 r. w Wilnie
Imiona rodziców	Ibram i Estera z d. Tabrycka
Zawód	lekarz
Wyznanie	mojżeszowe
Narodowość	żydowska
Przynależność	państwowa polska
Miejsce zamieszkania przed aresztowaniem	Jeziory, pow. Grodno
Obecne miejsce zamieszkania	obóz w Oświęcimiu

12 lipca 1942 r. oddziały partyzanckie napadły na miasteczko Jeziory w pow. grodzieńskim i zabrały stamtąd pewną ilość artykułów spożywczych. 13 lipca 1942 r. większe jednostki policyjne i gestapo przybyły do Jeziorów i zabiwszy jednego z partyzantów, spowodowały, że uciekli [oni] z miasteczka. Pod pozorem, że ja i mój brat Mojżesz pomagaliśmy partyzantom, aresztowano nas 12 lipca 1942 r. Nie przesłuchiowano nas w ogóle, a jedynie wmawiano, że pomagaliśmy partyzantom i bito nas gdzie popadło kijami, bykowcem i żelaznym prętem. Tak zbitych przewieziono następnie do więzienia w Grodnie. Tam umieszczono nas osobno.

Mnie w celi gestapowskiej nr 2, a brata w celi gestapo nr 4. Przez blisko cztery tygodnie nie przesłuchiowano mnie w ogóle, ani też nie bito. W tym czasie prawie codziennie z celi, w której przebywałem, jak również z sąsiednich, zabierano współtowarzyszy na korytarz. Po wyprowadzeniu ich z cel słyszeliśmy głośne krzyki i odgłosy uderzeń. Więźniów wyprowadzonych na korytarz katowano niemiłosiernie za pomocą bykowców i kijów. Po takim katowaniu wrzucano ich do cel na pół martwych. Przeważnie wszyscy po takim biciu umierali. Jedzenie dostawaliśmy bardzo liche. Rano 650 g kawy, a raczej wody, na obiad i kolację po 650 g zupy, a ponadto na cały dzień po 100 g chleba.

7 sierpnia 1942 r. dwóch gestapowców wyprowadziło mnie z celi i zaprowadziło na przesłuchanie do budynku gestapo przy ul. Horodniczańskiej. W pokoju, w którym mnie przesłuchiowano, było już kilkunastu gestapowców. Otoczyli mnie i po zebraniu danych dotyczących mej osoby wmawiali mi, że pomagałem partyzantom i żądali bym się przyznał oraz wskazał miejsce ich pobytu. Ja bezpośrednio z partyzantami się nie spotykałem, ale na żądanie okolicznych włościan i za ich pośrednictwem przesyłałem partyzantom lekarstwa i środki opatrunkowe. Widząc, że gestapo nie posiada żadnych konkretnych dowodów, które by stawiane mi zarzuty potwierdziły, postanowiłem nie przyznawać się do udzielania pomocy partyzantom. Gdy więc żądaniu gestapowców, bym się przyznał do winy, odmówiłem, wówczas ci poczęli mnie niemiłosiernie bić gdzie popadło bykowcami, kijami, rękami, tak że prawie straciłem przytomność. Nie było to jednak najgorsze, ponieważ po chwili, związawszy mi ręce jakimś rzemieniem na plecach, wyciągnęli mnie na specjalnie w tym celu zbudowany przyrząd, tzw. słupek, i na tym musiałem wisieć nie dotykając ziemi przez około pół godziny. Po zdjęciu mnie ze „słupka” gestapowcy znowu wmawiali mi te same zarzuty i chcieli, bym je potwierdził, a gdy ponownie zaprzeczyłem, bito mnie na nowo. To przesłuchanie trwało od godz. 7.00 rano do 15.00. Na koniec związano mi ręce i nogi rzemieniami i odprowadzono do piwnicy. W piwnicy tej nie było zupełnie okien, ani żadnego dostępu powietrza. Nie była ona w ogóle czyszczona, na podłodze było pełni kału i moczu, panował wielki smród. Bez pożywienia i picia przetrzymywano mnie tam przez dwie doby. Dnia 9 sierpnia 1942 r. przyprowadzono mnie z powrotem do więzienia, bez uprzedniego przesłuchania. W więzieniu przebywałem do 12 listopada 1942 r.

Przez cały czas pobytu w więzieniu w Grodnie na własne oczy obserwowałem, jak odbywały się tzw. „transporty”. Mniej więcej co dwa tygodnie odczytywano z listy około trzy czwarte stanu ogólnego więźniów, a następnie ich wywożono. Jak nam opowiadali „oddziałowi”

w więzieniu w Grodnie, wszystkich tych więźniów wywożono na tzw. dziesiąty fort i tam rozstrzeliwano. Stan więzienia utrzymywał się jednak stale w odpowiedniej liczbie, ponieważ co dzień przychodziły nowe transporty. 13 listopada 1942 r. wezwano wszystkich Żydów i oświadczono im, że zostaną zwolnieni z więzienia. Razem ze mną było siedmiu Żydów. Polecono nam wsiąść do auta, ostrzeżono, by nikt nie odważył się uciekać, bo w tym wypadku zostaniemy rozstrzelani i przewieziono do obozu w Kiełbasinie koło Grodna zwanego po niemiecku „Lager Losowna”.

Obóz w Kiełbasinie zbudowany był w całości pod ziemią. Składał się z sześciu bloków. Każdy blok liczył 16 baraków. Za czasów mojego pobytu w tym obozie w każdym baraku mieszkało po 400 więźniów. Baraki były zupełnie ciemne i z powodu tego, że znajdowały się w ziemi, bardzo wilgotne. Obóz wybudowali Niemcy i umieścili w nim początkowo jeńców rosyjskich. Jeńców tych było w roku 1941 – 22.000. Leczyłem w czasie mego pobytu w obozie szefa obozu *Oberscharführera* Karola Rinzlera i ten będąc pijany opowiadał mi, że w ciągu jednej zimy z 23 tys. jeńców rosyjskich pozostało na wiosnę 1942 r. tylko 300 i tych następnie przewieziono do innego obozu. Po opróżnieniu obozu z jeńców wojennych w listopadzie 1942 r. umieszczono w obozie w Kiełbasinie Żydów z powiatów grodzieńskiego i sokólskiego. Łącznie wszystkich Żydów było tam 29 tys. Był to obóz przejściowy, z którego wysyłano następnie więźniów do Treblinki i Oświęcimia. Transporty odchodziły raz albo dwa razy w tygodniu, a w to miejsce przychodziły nowe.

Warunki obozowe były straszne, ponieważ nie było w ogóle wody, a dwie studnie ręczne, które miały obsłużyć cały obóz, prawie codziennie się psuły. Woda z nich nie nadawała się w ogóle do picia. Na zarządzenie Rinzlera mieliśmy otrzymywać raz dziennie nieobierane kartofle z wodą, ale ponieważ raz nie było wody, drugi raz znowu drzewa na opał, przeto otrzymywaliśmy ciepłą strawę co dwa dni, po pół litra. Codziennie otrzymywaliśmy jedynie po 170 g chleba. Na skutek tych warunków żywieniowych i higieny obozowej poczęły się szerzyć choroby, ludzie szybko „muzułmanieli”, tzn. opadali z sił, a śmiertelność była wielka.

Obóz strzeżony był przez wojsko i policję niemiecką. Zarząd wewnętrzny spoczywał w rękach *Oberscharführera* Rinzlera. Oprócz Rinzlera pewne funkcje administracyjne spełniał *Judenrat*. Moim zdaniem członkowie *Judenratu* chcąc ratować własne życie, postępowali wobec nas nieszczerze. Uspokajali oni więźniów przeznaczonych do transportu, że jadą do Oświęcimia na roboty, że to nie jest jeszcze nic strasznego, a udawało się im

to dlatego, ponieważ o Oświęcimiu nie mieliśmy dokładniejszych wiadomości. Fakt, że transporty odchodzą do Treblinki, zatajali przed nami, ponieważ wiedzieliśmy wszyscy dobrze, iż obóz w Treblince jest obozem wyniszczenia. Policja i wojsko, które strzegły obozu, rzadko wchodziły do wnętrza, ale kiedy któryś z nich wchodził, wówczas bez powodu bili przebywających tam więźniów. Szczególnym okrucieństwem odznaczał się sam Rinzler. Był to mężczyzna wysoki, atletycznej budowy i dużej siły. Bez żadnego powodu bił i zabijał więźniów strzelając do nich lub zabijając jakimkolwiek posiadany w ręce przedmiotem. W obozie w Kiełbasinie przebywałem aż do jego likwidacji, tj. do 19 grudnia 1942 r. W tym dniu wszystkich więźniów, którzy jeszcze znajdowali się w obozie, a było ich ok. 3000, przetransportowano na piechotę do getta w Grodnie. Ciężej chorych przewieziono wozami konnymi przysłanymi przez zarząd getta. Ja wyruszyłem jako jeden z ostatnich, ponieważ byłem zajęty ładowaniem chorych na wozy. W obozie w Kiełbasinie spotkałem się ze swoimi rodzicami, żoną i dzieckiem i razem z nimi przybyłem do getta w Grodnie, gdzie następnie przebywałem przez miesiąc.

19 stycznia 1943 r. rozpoczęła się likwidacja getta w Grodnie. Trwała pięć dni. Do getta przyszło gestapo w asyście wojska i policji i poleciło Żydom, by zebrali się w synagodze. Stamtąd transporty liczące ok. 3000 odchodziły na stacyjkę w Łosośnie, skąd następnie po załadowaniu do wagonów do obozu w Oświęcimiu. W czasie akcji obchodzono się z Żydami szczególnie brutalnie, na ulicy można było zobaczyć grupy mężczyzn, kobiet i dzieci zabitych lub zastrzelonych. Ja wraz z rodziną zostałem przetransportowany do Łosośny 21 stycznia 1943 r. Do towarowych wagonów załadowano nas po 120 osób. W wagonach znaleźliśmy już pewną ilość chleba i kiełbasy. Na każdą osobę wypadało mniej więcej po pół kilo chleba i ok. 25 g kiełbasy. Wagony następnie, eskortujące nas, SS zamknęło i pociąg o godz. 12.00 ruszył w kierunku Oświęcimia.

Do Oświęcimia-Brzezinki przybyliśmy 22 stycznia w nocy. W czasie podróży nie dano nam nic do picia, a jeżeli ktoś z cywilnej ludności usiłował podać nam śnieg lub wodę, wówczas SS-mani strzelali do niego. Po zatrzymaniu się pociągu w Oświęcimiu usłyszeliśmy okrzyki „los, schenll, raus”, a równocześnie krzyk i płacz więźniów. Polecono nam bardzo szybko opuścić pociąg, a paczki zostawić na boku. Cały transport ustawiono w pięcioosobowych szeregach, a następnie SS-mani uzbrojeni w kije, patyki, bykowce itp. rozdzielili przybyłych na cztery grupy. W pierwszej z nich znajdowali się młodzi mężczyźni, między którymi znalazłem się [razem] z bratem. W drugiej młode i zdolne do pracy kobiety, w trzeciej starsi

mężczyźni i młodzi chłopcy, w czwartej kobiety starsze, kobiety z dziećmi i dzieci. Dwie ostatnie grupy załadowano bezpośrednio na auta ciężarowe i przewieziono, jak się później dowiedziałem, wprost do komór gazowych, gdzie je otruto. Grupom młodym polecono udać się do obozu w Brzezince. Z całego transportu, który liczył 2650 osób, do obozu przeznaczono 265 mężczyzn i 80 kobiet. Z mojej rodziny zostaliśmy w obozie tylko ja z bratem. Na własne oczy widziałem jak moich rodziców, żonę i dziecko ładowano na auta, które miały ich przewieźć do krematorium.

Bezpośrednio po przyjeździe do obozu wpakowano nas do jakiegoś bloku, z którego następnie zaprowadzano grupy więźniów do bloku innego. Na tym bloku, tzw. *Effektenkammer* przeprowadzono szczegółową rewizję, przy czym więźniom odbierano wszystko, nawet chusteczki do nosa. Rewizją kierowali dwaj SS-mani, a zatrudnieni byli przy niej więźniowie, którzy odebrane rzeczy sortowali według poszczególnych rodzajów, osobno biżuterię, pieniądze, wieczne pióra i inne rzeczy. Bezpośrednio po tej rewizji grupy kierowano do łaźni, gdzie odebrano nam ubrania cywilne, ostrzyżono, następnie polecono wymyć się pod zimnym prysznicem i rozdzielono bieliznę oraz ubrania obozowe. Każdy dostał koszulę, kalesony i ubrania letnie. Czapek nie dostaliśmy. Na bieliźnie każdy z nas mógł zauważyć olbrzymiej wielkości żywe wszy. Po kąpieli wyprowadzono nas na pole i mimo iż był wielki mróz, trzymano w szeregach aż do apelu porannego. Jeszcze przez apelem sztubedinci ćwiczyli nas w zdejmowaniu i zakładaniu na tempo czapek. Obecnie przypominam sobie, że nie było to w tym samym dniu, a dopiero w dwa dni później, gdy dostaliśmy czapki. Po apelu skierowano nas do bloku 22., tzw. *Aufnahmeblock* i tu spisano rodowód każdego oraz tatuowano numery na rękach. Po zarejestrowaniu ustawiono nas znowu w szeregach na polu i tak przestaliśmy aż do apelu wieczornego. W międzyczasie w porze obiadowej otrzymaliśmy po litrze zupy z jarmużu. Łyżek nie mieliśmy, przeto musieliśmy zupę pić. Prawie żaden z nas i tak jeść nie mógł, gdyż byliśmy bardzo zmęczeni i zdenerwowani. W tym czasie podchodzili do nas schorowani starsi więźniowie tzw. muzułmanie i prosili nas, byśmy im oddawali resztę niezjedzonej zupy. Każdy z nas czynił to chętnie, ale jak później okazało się, ze szkodą dla obu stron, bowiem jeśli zauważył to któryś z funkcyjnych blokowych bił zarówno dającego, jak i tego, który zupę otrzymywał. W ten sposób zginęło wielu spośród „muzułmanów”. Po apelu wieczornym polecono nam udać się do bloku 19., kwarantanny. Kolacji tego dnia nie otrzymaliśmy. Bezpośrednio po wejściu do bloku polecono położyć się spać w „buchsach”. Było tam wówczas ponad tysiąc osób, przeto było bardzo ciasno i trudno

było się pomieścić. Gdy któryś z więźniów na czas nie ułożył się lub mówił coś do innego, wówczas sztubedinci i blokowy bili go kijami. W ogóle przez dwa dni, w trakcie których przebywałem w tym bloku, bito nas bez żadnego powodu lub za najdrobniejsze uchybienia. W bloku przebywaliśmy tylko w nocy, cały zaś dzień musieliśmy stać w szeregach na polu.

Na śniadanie otrzymaliśmy w jednej misce po dwa litry herbaty, którą mieliśmy się podzielić w ten sposób, by zwartość wystarczyła dla dziesięciu osób. Ponieważ wszyscy byli bardzo spragnieni, przeto tylko dla kilku pierwszych wystarczyło herbaty, reszta zaś w dalszym ciągu nie dostała nic do picia. Codziennie wieczorem otrzymywaliśmy po 250 g chleba (zamiast 350, które nam się należały) i po trochu margaryny, marmolady lub kiełbasy. Były to ilości mikroskopijne, po kilka gramów, gdyż resztę kradli sztubedinci. 24 czy 25 stycznia 1943 r. przydzielono mnie, wraz z większością więźniów z mego transportu, do bloku 26 – roboczego i wyznaczono do komanda *Strassenbau*. Bezpośrednio po apelu porannym komando, składające się z 200 ludzi, kierowane przez kapo Martina, Niemca, człowieka okrutnego, ustawiano w szeregi i szliśmy do pracy w odległości półtora do dwóch kilometrów od obozu. Praca była bardzo ciężka, polegała na przebijaniu kilofem wzniesień terenowych, następnie rozbijaniu kamienia, rozsypywaniu go łopatami po jezdni i ubijaniu. Pracowaliśmy bez przerwy obiadowej od godz. 8.30 rano do 16.00. Przez cały czas pracy, bez żadnych powodów, bito więźniów niemiłosiernie, tak że codziennie z pracy po kilka lub kilkanaście trupów. Ilość tych trupów z dnia na dzień wzrastała, [tak] że później musieliśmy wozić je na specjalnej rolwadze. Brakującą ilość stanu komanda uzupełniano codziennie. Do obozu wracaliśmy o godz. 16.00, o której to godzinie odbywał się apel. Po apelu, który czasem trwał kilka godzin, otrzymywaliśmy obiad, a następnie przy wejściu do bloku chleb i tzw. porcje i zapędzano nas spać do „boksów”.

W komandzie *Strassenbau* pracowałem do marca 1942 r. Przez cały ten czas ani razu nie pozwolono nam się wykąpać, a my nie mieliśmy się, gdzie ani czym umyć, bo nie było zupełnie wody. Bielizny przez cały ten czas w ogóle nam nie zmieniano. Jeśli ktoś chciał umyć się śniegiem, a zauważył to któryś ze sztubedinców, wówczas tego więźnia bito. Na skutek tych warunków higienicznych zaczęły się szerzyć szybko choroby infekcyjne: tyfus plamisty, brzusznym, dyzenteria [czerwonka], świerzb i *Durchfall*. Śmiertelność w obozie była bardzo wielka. W bloku, gdzie przebywałem, umierało początkowo dziennie dwóch więźniów, następnie ośmiu, dziesięciu, dwudziestu aż do pięćdziesięciu, nie licząc w tym tych, którzy umarli lub zostali zabici przy pracy. To samo było w innych blokach. Władze obozowe nie

robiły nic, co by wskazywało, że starają się chorobom tym zapobiec. Warunki pracy mocno nadwerżyły stan mojego zdrowia, poruszałem się z trudem, byłem bardzo osłabiony, cały pokryty sińcami, ważyłem 39 kg, a mimo to musiałem udawać, że pracuję, jak zdrowy człowiek, gdyż obawiałem się, by mnie nie zabito. Czułem, że jeśli będę dalej pracował w tym komandzie, długo nie pożyję. Zwróciłem się wówczas do jednego ze starszych więźniów, nieznanego mi z nazwiska, lekarza, z prośbą, by mi jakoś pomógł. Za jego poradą udałem się do pisarza szpitalnego w bloku szpitalnym nr 12, Polaka, Karola, jak mi się zdaje Ordowskiego, przedstawiłem mu, że jestem lekarzem oraz że nie mogę w tak ciężkim komando pracować i prosiłem, by mnie przyjął do jakiegoś zajęcia, zbliżonego do mojego fachu. Ordowski zgodnie z danym mi przyrzeczeniem, zaraz następnego dnia skierował mnie jako pielęgniarza do bloku nr 23 – *Aufnahmeblocku*. Poza mną w tym bloku w charakterze funkcyjnych pracowali jeszcze blokowy i sześciu sztubedinstów. Blokowym był Żyd z Łodzi, Pinkus Chmielnicki. Nazwisk sztubedinstów nie pamiętam. Zarówno on, jak i sztubedinsti bili więźniów za najdrobniejsze przewinienia. Gorszy od niego był jednak poprzedni mój blokowy, w bloku nr 26, Leon Stachowiak, Polak. Ten nie tylko bił, ale i zabijał ludzi. Przebywałem tam do połowy kwietnia 1943 r. a mając więcej czasu i możliwość poruszania się po innych blokach, obserwowałem w jaki sposób masowo uśmiercano więźniów. Sposobów tych było kilka.

Bezpośrednio po przyjęciu transportu w czasie tzw. selekcji odsyłano około 90 proc. z każdego transportu wprost do komór gazowych. Z pozostałych przy życiu bardzo dużo ginęło w czasie pracy w poszczególnych komandach. Wielu umierało śmiercią naturalną na skutek szerzących się epidemii i głodu. Dużo więźniów zabijali blokowi i funkcyjni, a wreszcie bardzo dużo ginęło z powodu selekcji przeprowadzanych w blokach szpitalnych i wśród chorych przebywających w blokach zdrowych w obozie. Bloków szpitalnych było w Brzezince zasadniczo trzy: 7., 8. i 12. Najłżejszym był blok 12., gdyż z niego najmniej ludzi brano do zagazowania. Właściwie wprost do komór gazowych wysyłano tylko z bloku 7., a czasami także z 8. Wszystkich chorych wybranych do zagazowania przenoszono najpierw do bloku 7. Jeśli chory zgłaszał się do ambulatorium, obojętne z jaką chorobą, przyjmowano go do szpitala, spisywano krótką historię choroby, a następnie, jeżeli to była choroba przewlekła, lekarz Niemiec przeprowadzał selekcję i dowolnie, według uznania, zabierał kartoteki tych chorych, których przeznaczał na śmierć. Kartoteki te następnie *Schreibstuba* spisywała tworząc listę, według której następnie zabierano ludzi do gazu. W czasie takiej selekcji zabierano ok. 80 proc. chorych każdorazowo. Selekcję przeprowadzali lekarze

Niemcy, a pomagał im przy tym więzień-Polak Roman Zenkteler, numer [ponad] 20 000. Był to człowiek wyjątkowo zły zarówno wobec lekarzy, jak i pielęgniarzy i więźniów, których bił bez najmniejszego powodu. Był on tchórzem i płaszczył się przed Niemcami, a w pracy swej był niejednokrotnie gorliwszy od samych Niemców. Oprócz tych selekcji odbywały się w obozie jeszcze tzw. łapanki. Polegały one na tym, że kiedy komanda wyruszały do pracy, SS-mani stawali przy bramie i zupełnie dobrowolnie wybierali poszczególnych więźniów, których kierowali do bloku 18. Zdarzało się, że słabsi więźniowie zauważywszy, iż tego rodzaju łapanka ma miejsce, uciekali i kryli się w ustępach, śmietnikach i gdzie się im tylko udało. SS-mani i służba blokowa wyłapywali i tych także kierowali do bloku 18.

Blok 18 był to barak niewykończony, nie posiadał żadnego urządzenia. Tego rodzaju łapanek było za moich czasów kilkanaście, ale ja sam na własne oczy widziałem trzy albo cztery. Złapanych w ten sposób więźniów przetrzymywano bez jedzenia i picia przez dwie, albo trzy doby. Następnie podjeżdżały auta, na które ładowano tych więźniów i którymi przewożono ich do krematoriów. Działo się to w ten sposób, że przed załadowaniem więźniów na auta, wchodził do bloku *Rapportführer* Palitzsch, w asyście SS-manów i ci wypędzali stamtąd więźniów. Który z nich mógł jeszcze iść, ten musiał o własnych siłach wlec się do auta. Innych wyciągali zorganizowani do tego z bloków szpitalnych pielęgniarze. Niejednokrotnie w grupie tej znajdowało się już wiele trupów. Ponieważ wszyscy więźniowie po trzydniowym pobycie bez wody odczuwali wielkie pragnienie, przeto po wyjściu na zewnątrz usiłovali zjeść trochę śniegu, by je ugasić. Wówczas Palitzsch i inni SS-mani bez miłosierdzia kijami bili tych więźniów. To samo miało miejsce w momencie załadowania więźniów na auta. Wszyscy oni wiedzieli, że jadą na śmierć, przeto wielu wznosiło okrzyki w kierunku Niemców: „Wy jeszcze za to zapłacicie i na was przyjdzie czas”. Wówczas SS-mani z wyjątkowym bestialstwem pastwili się nad ładowanymi na auta.

Obserwowałem zachowanie i wygląd więźniów idących na śmierć. Żaden z nich nie płakał, ale oczy prawie wszystkich były błędne, a twarze jakby sine koloru zielonkawo-szarego. W bloku 22 przebywałem do połowy kwietnia 1943 r., kiedy to przeniesiono mnie do tzw. *Reserweblock* nr 3, w którym znajdowali się więźniowie dopiero wypisani ze szpitala. Niejednokrotnie obserwowałem, że więzień wypisany ze szpitala jako „zdrowy”, znajdował się w takim stanie, iż po dwóch dniach kończył życie.

Na tym protokół przerwano do dnia 18 maja 1945 r.

Dalszy ciąg protokołu przesłuchania świadka dra Jakuba Gordona sporządzony dnia 18 maja 1945 r. Skład Komisji jak poprzednio.

Świadek dr. Jakub Gordon w dalszym ciągu zeznaje:

Będąc w bloku 3. spotkałem mojego pacjenta Kamińskiego ze stacji Porzecze z pow. grodzieńskiego. Kamiński pracował jako kapo w *Sonderkommandie*, a mieszkał w bloku 2. położonym bezpośrednio przy bloku 3., gdzie ja mieszkałem. Ta okoliczność ułatwiała komunikowanie się z nim. Normalnie z więźniami zatrudnionymi w *Sonderkommandie* nie wolno było się porozumiewać. Kamiński miał do mnie, jako swego rodaka, zaufanie i opowiadał mi niejednokrotnie o stosunkach, jakie panują w *Sonderkommandie* i przy pracy w krematorium, ale nie pamiętam w którym dokładnie, wydaje mi się, że w II i III. Kamiński było to Żyd i był człowiekiem zasługującym na wiarę. Do obozu przybył w listopadzie albo w grudniu 1942 r. i zaraz został przydzielony do *Sonderkommanda*. Miał on numer ponad 80 000. Kamiński opowiadał mi, że transporty zarówno Żydów, jak i mieszane, selekcionowano bezpośrednio na rampie w Brzezince i stąd przewożono autami wprost do krematorium. Tylko bardzo nieznaczny procent przeznaczano do pracy obozowej. Po przyjsciu do krematorium ludziom polecano rozbierać się i nie rozdzielając mężczyzn od kobiet i dzieci wpędzano ich do sali przypominającej wyglądem łaźnię. Nad wejściem do tej sali umieszczony był napis: „Łaźnia i pokój dezynfekcyjny”. Napis ten zmieniano w zależności od tego, jakiej narodowości transport miał być otruty. Do komory gazowej wpędzano 2000–2500 ludzi, a nawet i więcej. Ponieważ było bardzo ciasno, a ludzie nie chcieli się gnieść, przeto szczerzo ich specjalnie tresowanymi w tym celu psami. Gdy już komora była pełna, zamykano drzwi i lekarz obozowy Niemiec sprawdzał przez okienko, czy wszystko zostało załatwione w porządku. W tym czasie z wewnątrz komory słychać było jęki, krzyki i płacze. Ludzie tratowali się nawzajem i jeszcze przed zagazowaniem masę z nich ginęło stratowanych. Lekarz po stwierdzeniu, że wszystko zostało należycie załatwione, rozkazywał słowami: „Daj im coś zeżreć” stojącemu obok SS-manowi, by wrzucił cyklon. Po wykonaniu rozkazu lekarz obserwował znowu zachowanie więźniów znajdujących się w komorze. Po upływie ok. 12 min wszyscy ludzie w komorze umierali, ale przeważnie utrzymywali się w pozycji stojącej, ponieważ tak silnie byli stłoczeni. Jeszcze przed wrzuceniem gazu, puszczano w ruch wentylatory, które wyciągały powietrze z wewnątrz. Wentylatory te puszczano w ruch ponownie po zagazowaniu ludzi, tym razem jednak wypompowywały one najpierw gaz, a następnie wtłaczały do wewnątrz powietrze. Po zagazowaniu ludzi wchodziło

do komory gazowej *Sonderkommando*, które ładowało trupy na znajdującą się obok komory windę. Winda ta wyciągała trupy o jedno piętro wyżej, gdzie mieściło się krematorium. Tutaj specjalne komando *Goldarbeiterów* wrywało zagazowanym złote zęby, inni zaś więźniowie strzygli kobietom włosy, które ładowano do wielkich worków. Po wykonaniu tych czynności trupy ładowano do pieców i palono. Spalone kości rozbijano następnie na popiół, a ten wywożono do rzeki. Na własne oczy widziałem nieraz, że popiół ze spalonych ludzi rozsypywano również po drogach, a nam polecano go ubijać. Krematorium w ciągu dnia było w stanie spalić tyle trupów, ile można było zagazować jednorazowo w komorze. Jeżeli trupów było więcej, wówczas krematorium czynne było przez całą dobę. Do sierpnia 1943 r., tj. do czasu przeniesienia mnie do obozu w Oświęcimiu I, według oświadczenia Kamińskiego zagazowano i spalono ok. 2,5 mln ludzi. Według posiadanych obecnie przeze mnie wiadomości, [Kamińskiego] zastrzelono w obozie, rzekomo za organizowanie buntu w *Sonderkommando*. Kamiński, opowiadając mi te rzeczy, niejednokrotnie płakał, a raz oświadczył mi, że „gdyby ściany krematorium mogły mówić, to by po wojnie zostało przy życiu bardzo mało Niemców”.

W czerwcu 1942 r. przeniesiono mnie wraz z wszystkimi więźniami bloku nr 3 i całym obozem Brzezinki na inne miejsce, położone w odległości kilometra od pierwotnego, na *Bauabschnitt D*, a stamtąd 9 sierpnia w 1942 r. wraz z grupą pielęgniarek, lekarzy, dentystów i farmaceutów do obozu w Oświęcimiu I. Tutaj umieszczono mnie w bloku 21. Był to blok sanitarny, chirurgiczny. Na pierwszy rzut oka wydawało mi się, że trafiłem w porównaniu z Brzezinką na lepsze warunki, przede wszystkim higieniczne. Bloki były murowane, były w nich ustępy i woda do mycia. Później okazało się jednak, że obóz ten nie różnił się niczym istotnym od innych obozów zagłady, a był częścią wielkiej fabryki śmierci.

Tu również, jak i w Brzezince urządzano w szpitalach selekcje. Selekcje takie miały miejsce co tydzień, a najwyżej co dwa tygodnie. Każdorazowo zabierano do gazu 50 proc. chorych. Selekcje takie odbywały się również wśród więźniów z innych bloków. Kiedy komanda wyruszały do pracy, wówczas SS-mani dowolnie wybierali słabszych więźniów i przeznaczali ich do otrucia. Każdorazowo w czasie takiej selekcji wybierano około tysiąca osób, które następnie umieszczano w jakimś bloku na dzień lub dwa, a następnie autami przewożono do Brzezinki. Będąc w bloku 21. mogłem obserwować, co się dzieje w bloku 11., gdzie mieściło się SK [*Strafkompanie*]. Do bloku tego przychodziły stale transporty więźniów z obozu, albo dopiero przybyłych. Tych ostatnich nazywano w obozie *Polizeihäftling*. Z obozu zabierano

do bloku 11. do SK za dowolne przewinienia lub tych, co do których gestapo lub inna władza zażądała od władz obozowych „zlikwidowania” takiego więźnia. Umieszczenie w bloku 11. było równoznaczne z wyrokiem śmierci.

W bloku 11 odbywały się co piątek, a czasem dwa razy w tygodniu „rozprawy” przed *Sondergerichtem*. Działo się to na podwórzu bloku 11. i dlatego mogłem je obserwować. Było to wprawdzie niebezpieczne, ponieważ kazano nam okna zasłaniać kocami, ale mimo to działalność *Sondergerichtu* obserwowaliśmy.

Sędziowie SS-mani w mundurach wojskowych zajeżdżali autami przed blok 11, następnie zasiadali za stołem, a przed nich sprowadzano więźniów bloku 11. Co więźniom tym odczytywano i o co ich pytano, tego nie słyszałem, w każdym razie „rozprawa” taka trwała około dwóch minut, po czym więźnia odprowadzano z powrotem do celi.

W ciągu dwóch – trzech godzin osądzano 200–300 więźniów. Gdy już „rozprawy” ukończono, SS-mani sędziowie odjeżdżali, a na podwórze wprowadzano z powrotem więźniów osądzonych. Więźniów tych dzielono na trzy grupy. Jedna z nich normalnie liczyła dwie – trzy osoby, druga od kilku do kilkunastu, trzecia wreszcie pozostałą ilość osądzonych. Ta ostatnia, jak się później dowiedziałem, była to grupa skazanych na śmierć, a pierwsza – najmniejsza, była przeznaczona [do wyjścia] na wolność. Grupą średnią byli to więźniowie, którzy wyrokiem sądu skazani zostali na pobyt w obozie. Grupę więźniów skazanych na śmierć sprowadzano następnie z powrotem na blok, gdzie, jak się później od kolegów dowiedziałem, polecano im się rozebrać, a następnie *Stubedienst* Jakub, człowiek wielkiej siły, wyprowadzał po jednym lub dwóch przed tzw. ścianę śmierci. Pod ścianą tą znajdujący się na podwórzu SS-mani zabijali więźniów strzałem w potylicę przy użyciu specjalnego pistoletu wydającego tylko nieznaczny odgłos.

Pewnego razu nasz blokowy polecił wszystkim pielęgniarzom, by udali się na podwórze bloku 11. Było to właśnie w piątek po skończonym urzędowaniu *Sondergerichtu*. Po przyjsciu na miejsce zauważyłem w kącie pod ścianą stos trupów. Trupy te polecono nam ładować na auta. Było ich ok. 200, w tym pięć kobiet. Musieliśmy trupy ciągnąć za nogi do stojącego obok auta. Przy aucie stało dwóch więźniów, którzy musieli na nie trupy wrzucać. Zdarzało się, że nie wszyscy na skutek strzałów ponieśli śmierć na miejscu. Niektórzy jęczeli jeszcze. Wówczas do tych podchodził któryś z SS-manów i strzałem w oko zabijał ich. Na

podwórzu bloku 11. rozstrzeliwano ludzi różnego wyznania i różnych narodowości, zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Miedzy innymi rozstrzelano tam grupę byłych polskich oficerów składającą się z ok. 200 osób. Jeńców rosyjskich, co do których Niemcy przypuszczali, że są oficerami, pracowali w charakterze politruków oraz inteligencję wybierano z transportów i rozstrzeliwano również w bloku 11.

Od kolegów lekarzy pracujących w bloku 20 dowiedziałem się, że tam zabijano chorych na tyfus plamisty i inne choroby, a nawet zdrowych, za pomocą dosercowych zastrzyków [z] fenolu. Raz, daty dokładnej nie pamiętam, w 1943 r. przywieziono ok. 167 chłopców poniżej 16 roku życia, których również zabito fenolem. Chłopcom tym oświadczono uprzednio, że przejdą kurs pielęgniarstwa. Koledzy opowiadali mi w jaki sposób odbywało się samo „szpilowanie”. Skazanego na śmierć sadzano na krześle podobnym do dentystycznego, po czym dwóch innych więźniów trzymało go za ręce, a trzeci zawinawszy mu oczy rękami, trzymał go za głowę. Wówczas zbliżał się SS-man *Oberscharführer* Clair [Klehr], który wbijał mu długą igłę w serce i wstrzykiwał cztery gramy fenolu. Więzień po zastrzyku nie umierał od razu, ale znajdował się w stanie zamroczenia. Wówczas asystujący przy zastrzyku więźniowie przeprowadzali go do innej izby i tam rzucali na podłogę. Kończył on życie po kilkunastu albo kilkudziesięciu sekundach. Izba, w której wykonywano te zabiegi, mieściła się bezpośrednio przy wejściu do bloku po lewej stronie, trupy zaś składano po przeciwnej stronie korytarza w *Waschraumie*. Ogółem zaszpilowano w ten sposób kilkadziesiąt tysięcy ludzi, ale ilu dokładnie, tego powiedzieć nie mogę. W tej sprawie ściślejszych informacji może udzielić dr Samuel Steinberg, zamieszkały obecnie w obozie w Oświęcimiu.

Będąc w bloku 21. spotykałem niejednokrotnie chorych, na których Niemcy robili doświadczenia dotyczące utraty płodności. Czytałem już uprzednio dużo i z rozmów z lekarzami-więźniami odniosłem wrażenie, że doświadczenia w tej dziedzinie miały na celu opracowanie metody pozbawienia swobody płodzenia wielkich mas ludzi. Do doświadczeń tych wybierano ludzi młodych w wieku od 16 do 30 lat, najzdrowszych. Doświadczenia wykonywano w obozie w Brzezince na odcinku kobiecym. Tam przeprowadzano sterylizacje roentgenowską, przy czym w stosunku do każdego chorego stosowano różne dawki promieni. Częstokroć skutek za silnego dawkowania promieni u naświetlanych powstawały oparzenia skóry trzeciego stopnia, od których wielu chorych zmarło. W jakiś czas po tych naświetlaniach operowano chorych, przy czym wycinano im albo oba jądra, albo jedno, albo nawet część jednego jądra. Preparaty wycięte wysyłano do badania histologicznego w głąb

Rzeszy, zdaje się do Wrocławia. Operacji tych dokonywał lekarz niemiecki Entress i inni oraz lekarz-więzień dr Dering. Dering pochodził z Warszawy, był Polakiem, a następnie został *Reichsdeutschem* i został z obozu zwolniony.

Innym rodzajem doświadczeń było wstrzykiwanie chorym nafty pod skórę. Badania te miały na celu stwierdzenie zmian powstających w tkankach pod wpływem tego preparatu. Nie wiem dokładnie, czy to była czysta nafta, czy też jakaś mieszanina, w każdym razie był to preparat naftowy. Na skutek działania nafty chorzy doznawali głębokich owrzodzeń, które bardzo trudno się goiły. Po takim zastrzyku w tym miejscu, gdzie go wykonano, wycinano skórę i wysyłano ją również do badania. Jeżeli skórę wycięto w tym samym dniu, rana goiła się szybciej, jeżeli po kilku dniach – bardzo długo.

Doświadczenia te wykonywano w bloku 28, a wykonywał je lekarz niemiecki *SS-Hauptsturmführer* dr Fischer. Innym jeszcze rodzajem doświadczeń było badanie siły różnych środków nasennych. Zdrowym więźniom, przeważnie pielęgniarzom, dawano lekarstwo i zmuszano do spożycia go. Niektórzy silniejsi wytrzymywali działanie lekarstwa i chodzili tylko oszołomieni przez jakiś czas, inni, którzy dostawali widocznie większe dawki, umierali. Jednego dnia zmarło na skutek działania tych lekarstw dwóch, innego dnia siedmiu zupełnie zdrowych więźniów.

Również na kobietach przeprowadzano różne doświadczenia. Na własne oczy widziałem w bloku 10. w obozie w Oświęcimiu I kilkaset niewiast, jak się później dowiedziałem, ok. 460, które nie pracowały w ogóle. Niejednokrotnie zdarzało się, że z bloku tego przynoszono, albo przyprowadzano więźniarkę do naszego obozu nr 21, w celu operacyjnego kastrowania. Operacji tych dokonywali lekarze niemieccy i Dering. Uprzednio, według oświadczeń tej chorej, dokonywano na niej sterylizacji promieniami Roentgena. W bloku 21. operacja polegała na otwarciu jamy brzusznej i wycięciu jajników. Takich zabiegów robiono do 12 dziennie, a łącznie wykonano ich za moich czasów około stu. Chore bezpośrednio po zabiegu przenoszono do bloku 10. Po zagojeniu ran, kobiety wysyłano do Brzezinki do pracy, albo bezpośrednio do gazu, a na ich miejsce przychodziły nowe kobiety. Z opowiadania kolegów lekarzy wiem, że doświadczenia wykonywane na kobietach szły w kilku kierunkach. I tak szczepiono raka na szyjce macicy. Przypuszczam, że chodziło tu o zbadanie sprawy zakaźności raka. Następnie wycinano kawałek szyjki macicy i przesyłano do badań. Był to jeden z najłżejszych zabiegów w pojęciu chorych. Innym rodzajem było próbowanie nowych środków dla metrosalpingografii

[histerosalpingografii]. Jest to metoda normalnie w medycynie stosowana, ale w wypadkach koniecznych, gdy chodzi o stwierdzenie przyczyny niepłodności kobiety lub innych zmian chorobowych w drogach rodnych. W danym zaś wypadku doświadczenia przeprowadzano na kobietach zdrowych, aby wypróbować nowe preparaty. Po takich doświadczeniach kobiety chorowały przez jakiś czas, miały silne bóle, ale wypadków śmiertelnych nie było. Dalej dokonywano jeszcze na kobietach prób sztucznego zapładniania i prób z działaniem preparatów hormonalnych. W jaki sposób techniczne próby te przeprowadzano, tego nie wiem. Doświadczenia te przeprowadzał i kierował nimi prof. dr Clauberg, Niemiec. Pomagał mu w tych doświadczeniach Żyd niemiecki dr. Samuel, którego następnie otruto gazem.

W bloku 21. przebywałem do chwili wkroczenia do Oświęcimia wojsk radzieckich. 15 stycznia 1945 r. dowiedzieliśmy się o rozpoczęciu wielkiej ofensywy sowieckiej. 17 stycznia 1945 r. w nocy przyszedł do bloku *Lagerarzt* dr Fischer z dwoma pomocnikami SDG (*Sanitätsdienstgehilfe*) i polecili nam byśmy zabrawszy koce udali się na strych i stamtąd znosili znajdujące się tam dokumenty. Oni pilnowali, by któryś z nas jakiegoś dokumentu nie ukrył. Mimo tych ostrożności udało się nam pewne dokumenty schować i te oddaliśmy w ręce komisji sowieckiej. Dokumenty znosiliśmy przed blok nr 11, gdzie paliły się one przez całą noc do rana. 18 stycznia 1945 r. rozpoczęła się ewakuacja lagru, przy czym ewakuowano najpierw zdrowych ludzi, a wieczorem rozpoczęła się ewakuacja szpitali. Chorych ewakuowano na piechotę. Wówczas ja z dwoma kolegami, dr. Wolmanem i dr. Steinbergiem postanowiłem, nie licząc się z niebezpieczeństwami, jakie mogą mnie spotkać, z obozu się nie ruszać i pozostać przy chorych. Widząc to chorzy również do transportu się nie zgłaszali. Razem z transportem odeszli również SS-mani, wobec czego przez blisko tydzień byliśmy w obozie zupełnie sami bez żadnego nadzoru. Wówczas rozbiliśmy składy żywnościowe SS i dostarczyliśmy chorym jedzenia. Byliśmy bez wody i światła. 25 stycznia 1945 r. przybyli do obozu SS-mani w większej liczbie i kazali wszystkim więźniom, którzy mogli tylko wstać z łóżek, żeby przygotowali się do transportu. Z zachowania ich wywnioskowaliśmy, że zamiarem ich jest, wszystkich nas wystrzelać. Ustawili nas przy bramie i już mieliśmy wyruszyć, gdy nadjechało auto osobowe z dwoma SS-manami. Porozmawiali oni o czymś z tymi, którzy mieli nas konwojować i po krótkiej chwili wszyscy oni opuścili obóz. Później dowiedzieliśmy się od kolejarzy, że przyjechali oni, by ostatecznie „obóz zlikwidować” i mieli odjechać o godzinie 19.00. Ponieważ jednak zbliżały się oddziały sowieckie i słysząc było strzały, a SS-manom groziło odcięcie, przeto zaniechali swoich zamiarów i uciekli.

Następnego dnia przyszli wprawdzie do obozu żołnierze niemieccy, ale prosili tylko, by im podać wody i dać ubrania cywilne.

27 stycznia 1945 r. po południu wkroczyły już do obozu oddziały radzieckie. Byłem obecny w obozie w czasie, gdy urzędowała tu komisja sowiecka, która badała zbrodnie niemieckie. W czasie prac tej komisji znaleziono zakopany w ziemi w butelce list, pisany w języku żydowskim. Ja tłumaczyłem treść tego listu na język rosyjski członkom komisji. Autorem tego listu był więzień Gradowski. Co było treścią listu, tego dokładnie powiedzieć nie mogę, jestem jednak w stanie to opowiedzieć. List był pisany do tych, którzy go znajdą po uwolnieniu obozu, a autor opisywał okropną pracę, którą musieli wykonywać członkowie *Sonderkommando*, opowiadał o planach powstania w *Sonderkommandzie*, które rzeczywiście miało miejsce później w październiku 1944 r. i wyrażał nadzieję, że straszliwe zbrodnie hitlerowskie nie zostaną niewykryte i nieukarane.

Na tym protokół zakończono i jako zgodny z treścią zeznań świadka dr. Jakuba Gordona, po odczytaniu podpisano.